

MARGINESY

WĄŻ

Z ESSEX

SARAH PERRY

Jedna z najbardziej zapadających w pamięć powieści historycznych ostatniej dekady - „Sunday Times”

The Essex Serpent

COPYRIGHT ©

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Adam Zdrodowski

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

WARSZAWA 2019

Dla Stephenie Crowe'a

Gdyby mnie ktoś przypierał, abym powiedział, czemum go pokochał, czuję, że nie można by tego wyrazić inaczej, jak jeno odpowiedzią: „Bo to był on; bo to byłem ja”.

MICHEL DE MONTAIGNE, *O przyjaźni (Próby, Księga pierwsza*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński)

NOC
SYLWESTROWA

W zimnym świetle księżycy w pełni brzegiem Blackwater przechadza się młody człowiek. Spijał stary rok do dna, aż oczy nabiegły mu krwią i zbuntował się żołądek, a on sam zmęczył się gwarem i jasnymi światłami.

– Przejdę się tylko nad wodę – powiedział i pocałował najbliższy policzek. – Wróć, nim wybije północ.

Właśnie spogląda na wschód, w stronę opadającej fali, ku ujściu rzeki, ciemnemu i ospałem, i na białe mewy skrzące się na wodzie.

Panuje chłód – mężczyzna odczuwałby go, gdyby nie morze piwa, które w siebie wlał, i niezawodny gruby płaszcz. Kołnierz uwiera w kark, jest duszno, mąci mu się w głowie, czuje suchość w ustach. *Szybka kąpiel* – myśli – *to mnie ocuci*; idzie ścieżką i staje nad brzegiem, gdzie strumienie, uspione głęboko w ciemnym błocie, wyczekują przyplwy.

– „Kielichy wzniesmy jeszcze raz” – śpiewa ciepłym kościelnym tenorem; śmieje się, ktoś odpowiada mu śmiechem. Rozpina płaszcz, rozchyła poły, lecz to za mało: chce poczuć zimny dotyk wiatru na skórze. Zbliża się do wody i wystawia język, by skosztować słonego powietrza: *Tak, szybka kąpiel* – myśli i rzuca płaszcz w błoto. Przecież próbował tego wcześniej, jako chłopiec, w wesołym towarzystwie: odważne szaleństwo kąpeli o północy, gdy stary rok umiera w ramionach nowego. Jest odpływ – wiatr ucichł – Blackwater nie kryje niebezpieczeństw; dajcie mu szklanę, a wypije do dna, z solą i muszlami, ostrygami i wszystkim.

Jednak coś zmienia się wraz z ruchem fal lub wiatrem: tafla wody się porusza, mężczyzna podchodzi bliżej – ma wrażenie, że pulsuje

i drga, a potem wygląda się i nieruchomieje; następnie wibruje w konwulsjach, jak gdyby wzdragała się przed dotykiem. Robi kilka kolejnych kroków, jeszcze nie czuje strachu; mewy jedna po drugiej zrywają się do lotu, ostatnia wydaje strwożony okrzyk.

Nagle czuje zimę – jak cios w kark – zimno przenika przez koszulę i wchodzi w kości. Ani śladu przyjemnego rauszu; stoi teraz niepocieszony w ciemności – szuka płaszcza, lecz chmury przysłoniły księżyc i mężczyzna nie widzi nic. Mroźne powietrze kłuje i szczypie skórę; błoto pod stopami w jednej chwili staje się mokre, jak gdyby coś wyparło masę wody z rzeki. *To nic takiego, to nic* – myśli, rozgląda się i próbuje odnaleźć w sobie odwagę; tymczasem to znów nadchodzi: chwila, gdy wszystko dziwnie nieruchomieje, jak na fotografii, po czym następują nerwowe arytmiczne poruszenia, całkiem inne niż te, kiedy Księżyc szarpie fale w czasie przyływów i odpływów. Zdaje mu się, że widzi – pewny jest, że widzi – powolny ruch czegoś ogromnego, zgarbionego, pokrytego twardymi, złowieszczymi łuskami, które chlupoczą w wodzie; po chwili wszystko ustaje.

Mężczyzna stoi w ciemności i zaczyna się bać. Tam coś jest, on to czuje, coś, co spokojnie czeka – nieustępliwe, potworne, zrodzone w wodzie, z okiem bezustannie skierowanym na niego. Uśpione czaiło się w głębinach, a teraz wychynęło na powierzchnię; wyobraża sobie, jak pruje fale i łapczywie węszy. Ogarnia go trwoga – serce przestaje bić – w jednej chwili został oskarżony, skazany i ukarany: jakimż jest grzesznikiem – w jego wnętrzu tkwi czarna pestka! Czuje się obrabowany, pozbawiony wszelkiego dobra, nie ma nic na swoją obronę. Patrzy w stronę czarnej toni Blackwater i znów to dostrzega – coś przecina powierzchnię, zanurza się – tak, tkwiło tam cały czas, czekało i wreszcie go znalazło. Odczuwa dziwny spokój; przecież sprawiedliwości musi stać się zadość, a on dobrowolnie przyznaje się do winy. Jest skrucha, nie ma odkupienia, czyli dokładnie to, na co zasługuje.

Wtedy jednak zrywa się wiatr, rozgania chmury i księżyc nieśmiało pokazuje swe oblicze. Światło jest oczywiście słabe, ale przynosi po-

ciechę; w jego blasku mężczyzna dostrzega swój płaszcz – leży mniej niż jard od niego, ubłocony na dole. Mewy wracają nad wodę, a on nagle czuje się niedorzecznie. Ze ścieżki przebiegającej gdzieś ponad nim dobiega śmiech – dziewczyna i chłopak w odświętnych strojach; młodzieniec macha i woła:

– Tu jestem! Tu jestem!

On zaś mówi w myślach: *A ja jestem tutaj* – na mokradłach, lepiej mu znanych niż własny dom. Woda wzbiera i nie ma się czego bać. *Potworne!* – myśli mężczyzna i natrzęsa się z siebie, oszołomiony odroczeniem wyroku, jak gdyby głębia mogła skrywać coś oprócz śledzi i makreli!

W odmętach Blackwater nie kryje się nic straszego, a on nie ma czego żałować – to była tylko chwila zagubienia w ciemności, i o wiele za dużo piwa. Woda wychodzi mu na spotkanie i znów jest jego starą, dobrą znajomą; by to udowodnić, podchodzi bliżej, zanurza buty, rozpościera ramiona:

– Tutaj jestem! – krzyczy. Odpowiadają mu mewy. *Tylko szybka kąpiel* – myśli – „za dawny, bracie, czas”. Śmieje się i wyswabadza z koszuli.

Wahadło przechyla się ze starego roku w nowy, a ciemność spowija powierzchnię głębin.

I

DZIWNE
WIEŚCI
Z ESSEX

STYCZEŃ

I

Ponury dzień, godzina pierwsza, w obserwatorium astronomicznym Greenwich spadła kula czasu. Południk zerowy został skuty lodem, lód lśnił na takielunku szerokich barek na ruchliwej Tamizie. Szyprowie notowali godzinę i poziom wody i stawiali czerwonobrunatne żagle na północno-wschodni wiatr; ładunek żelaza płynął do odlewni w Whitechapel, gdzie dzwony brzmiały na kowadłach, jak gdyby kończył się czas. Za murami więzienia w Newgate skazańcy odliczali dni, a filozofowie w kawiarniach na Strandzie marnotrawili swoje; tracili je ci, którzy pragnęli, by przeszłość pozostała terażniejszością, i nie nawidzili ich ci, którzy chcieli, by terażniejszość odeszła w przeszłość. „Pomarańcze i róże” – były dzwony na górze, a dzwon w Westminsterze milczał jak grób.

Czas to pieniądz na Gieldzie Królewskiej, gdzie mężczyźni każdego popołudnia żegnają się z nadzieją, że da się wielbłądy przeprowadzić przez ucho igielne, a w biurach towarzystwa ubezpieczeń Prudential potężne koło zębate głównego zegara posłało impuls elektryczny do dwunastu pomniejszych zegarów, które odegrały melodie. Urzędnicy podnieśli wzrok znad ksiąg, by po chwili znów się w nich zatopić. Na Charing Cross Road czas zamienił swe rydwany na omnibusy i dorożki mknące w rącznych formacjach, a na oddziałach szpitali Świętego Bartłomieja i Royal Borough ból rozciągał minuty w godzinę. W kaplicy metodystów Wesleya śpiewano *Zapada się piach dni* i chciano, by zapadał się szybciej, a nieopodal topniał lód na grobach cmentarza Bunhill Fields.

W towarzystwach prawniczych Lincoln's Inn i Middle Temple prawnicy wpatrzeni w kalendarze liczyli przedawnione sprawy; w po-

kojach w Camden i Woolwich czas okrutnie obchodził się z kochankami, którzy głowili się, jak mogło tak szybko zrobić się tak późno, choć z biegiem dni łagodnie traktował ich cielesne rany. W całym mieście na tarasach i w kamienicach, w wytownym towarzystwie, w najpodlejszej kompanii i pośród klasy średniej czas trawiono i trwoniono, oszczędzano i chciano unicestwić; a przez cały dzień padał lodowaty deszcz.

Stacje metra Euston Square i Paddington przyjmowały pasażerów jak płynną masę, która po zmieleniu i obróbce trafia do form. W zmierzającym na zachód pociągu Circle Line przerywane, to gasnące, to zapalające się światła pokazały, że „The Times” nie przyniósł dziś radosnych wieści, a w korytarzu z czyjejś torby wysypały się poobijane owoce. Płaszcz przeciwdeszczowe pachniały deszczem; wśród pasażerów siedział, skulony za postawionym kołnierzem, doktor Luke Garrett i odtwarzał z pamięci budowę ludzkiego serca.

– Lewa komora, prawa komora, *superior vena cava* – wymieniał, odliczając na palcach, z nadzieją, że owa litania wyciszy jego niespokojne serce. Jakiś współpasażer zerknął na niego skonfundowany i odwrócił się ze wzruszeniem ramion. – Lewa komora, prawa komora – wymamrotał Garrett; choć przywykł do badawczych spojrzeń nieznanym, wołał ich bez potrzeby nie przyciągać.

Skrzat – tak go nazywano, bo rzadko kiedy sięgał innemu mężczyźnie wyżej niż do ramienia i chodził w nieustępliwy, sprężysty sposób, tak że zdawało się, iż lada moment da susa wprost na czyjś parapet. Nawet płaszcz nie mógł zatuszować nieposkromionej energii tego człowieka. Czoło mężczyzny było masywne, wystawało nad oczami, jak gdyby nie mogło pomieścić skali i siły jego intelektu. Długa czarna grzywka przypominała skrzydło kruka, pod którym czaiła się para ciemnych oczu. Doktor Garrett, trzydziestodwuletni chirurg o nienasyconym, nieposłusznym umyśle.

Światła zgasy i rozbłysły na nowo, Garrett zbliżał się do celu. Za niecałą godzinę powinien stawić się na pogrzebie pacjenta i chyba nikt nigdy nie wkładał żałobnego stroju z lżejszym sercem.

Michael Seaborne zmarł przed sześcioma dniami na raka gardła; wcześniej z równą obojętnością znosił wyniszczającą go chorobę, jak i wysiłki lekarza. Jednakże w tej chwili myśli Garretta nie krążyły wokół zmarłego, lecz wdowy, która (pomyślał z uśmiechem) być może właśnie teraz rozczesywała swoje niesforne włosy lub zauważyła brak guzika przy czarnej sukni.

Nigdy nie widział żałoby dziwniejszej niż żałoba Cory Seaborne – jednak już podczas pierwszej wizyty w domu na Foulis Street doktor wyczuł coś dziwnego. W wysokich pokojach panowała atmosfera ciągłego niepokoju, który wydawał się niepowiązany z chorobą. W tym okresie pacjent czuł się jeszcze w miarę dobrze, choć musiał nosić fular pełniący jednocześnie funkcję bandaża. Nieodmiennie zakładał fular jedwabny i jasny, często lekko poplamiony: trudno sobie wyobrazić, by taki pedant jak Seaborne nie zauważył plam. Luke podejrzewał, że pan domu chciał, by jego goście czuli się nieswojo. Dzięki szczupłej sylwetce Michael Seaborne sprawiał wrażenie wysokiego. Mówił tak cicho, że należało podejść blisko, żeby usłyszeć jego syczący głos. Był uprzejmym człowiekiem. Na opuszkach jego palców widniały niebieskie plamy. Zniósł pierwszą wizytę lekarza ze spokojem, ale odmówił poddania się operacji.

– Zamierzam zejść z tego świata tak, jak nań przyszedłem – powiedział i pogładził jedwab na szyi. – Bez blizn.

– Nie ma potrzeby cierpieć – odparł Luke, który zauważył, że pacjent nie oczekiwał pocieszenia.

– Cierpieć! – Widać było, że ta myśl ewidentnie go rozbawiła. – Bardzo pouczające doświadczenie, bez dwóch zdań. – Następnie dodał, jak gdyby ta myśl naturalnie wynikała z poprzedniej: – Czy poznał pan już moją żonę?

Garrett często wspominał swoje pierwsze spotkanie z Corą Seaborne, choć trzeba dodać, iż nie należy zbyt ufać jego wspomnieniu, gdyż ukształtowały je późniejsze wydarzenia. Cora zjawiała się w tamtej chwili jak gdyby na wezwanie. Przystanąła na chwilę, by przyj-

rzyć się gościowi. Później przeszła po dywanie, nachyliła się, by złożyć pocałunek na czole męża, po czym stanęła za jego krzesłem i wyciągnęła dłoń.

– Charles Ambrose twierdzi, że jest pan jedynym lekarzem, któremu można zaufać. Pokazał mi pański artykuł o życiu Ignaza Semmelweisa; jeśli operuje pan tak dobrze, jak pisze, będziemy żyć wiecznie.

Garrett nie potrafił się oprzeć tak niewymuszonemu pochlebstwu, roześmiał się więc tylko i nachylił ku wyciągniętej dłoni. Mówiła niskim głosem, choć niezbyt cicho, i z początku wydawało mu się, że rozpoznał akcent nomady, kogoś, kto nigdy nie osiada w jednym kraju. Okazało się jednak, że Cora przeciągała niektóre spółgłoski, by zatuszować drobną wadę wymowy. Ubrała się skromnie i na szaro, lecz materiał spódnicy mienił się jak gołębia szyja. Była kobietą wysoką, choć nie smukłą, o oczach szarych jak jej strój. W kolejnych miesiącach Garrett zaczął rozumieć naturę niepokoju, który unosił się w powietrzu na Foulis Street wraz z zapachami sandałowca i jodyny. Michael Seaborne emanował złą energią, nawet kiedy cierpiał najdotkliwszy ból, i nie wynikało to bynajmniej z władzy, jaką miał nad innymi z racji swej choroby. Jego żona wiecznie czekała w pogotowiu, z chłodnym okładem lub dobrym winem, zawsze gotowa nauczyć się robienia zastrzyków; można by pomyśleć, że zna na pamięć cały podręcznik powinności kobiety. Garrett nie dostrzegł jednak nawet cienia czułości pomiędzy Corą a jej mężem. Czasem doktor podejrzewał, że pani Seaborne wręcz pragnie, by ten ulotny płomień świecy zgasł – niekiedy obawiał się, że gdy będzie napełniał strzykawkę, Cora odciągnie go na stronę i poprosi: „Proszę dać mu trochę więcej – choć odrobinę więcej”. Kiedy się nachylała, by ucałować tę twarz umęczonego świętego, robiła to ostrożnie, jak gdyby z obawą, że mąż uniesie się z łóżka i w swej złośliwości wykręci jej nos. Najmowano pielęgniarki, by przemywały i opatrywały jego rany oraz zmieniały pościel, lecz te wytrzymały najwyżej tydzień; ostatnia (pobożna Belgijka) wyszeptwała w koryta-

rzu do Luke'a: – *Il est comme un diable!** i pokazała nadgarstek, na którym jednakże nie widniały żadne ślady ni rany. Jedyne bezimienny pies – oddany, wyliniały, trzymający się zawsze blisko łóżka – nie bał się swojego pana, a może tylko się do niego przyzwyczaił.

Z czasem Luke Garrett przywykł do Francisa, czarnowłosego małomównego syna Seaborne'ów, i do Marthy, jego niani, która często stawała przy Corze i obejmowała ją w pasie zaborczym gestem, czego Luke nie lubił. Po pobieżnych oględzinach pacjenta (cóż można, koniec końców, poradzić?) Cora zabierała Luke'a, by pokazać mu skamieniały ząb, który właśnie przysłano, lub by wypytać go szczegółowo o jego ambicje związane z rozwojem kardiochirurgii. Stosował na niej hipnozę i opowiadał, jak niegdyś używano jej na froncie, by ułatwić amputację kończyn żołnierzy; rozgrywali partie szachów, co doprowadziło Corę do poczucia rozżalenia, gdy dostrzegła, że przeciwnik zmobilizował wszystkie swe siły przeciwko niej. Luke zdiagnozował u siebie miłość, nie szukał jednakże lekarstwa na tę przypadłość.

Cały czas czuł zgromadzoną w niej energię, która tylko czekała, by się uwolnić; wyobrażał sobie, że gdy wypełnią się dni Michaela Seaborne'a, stopy Cory będą krzesać błękitne iskry na trotuarze. Koniec nadszedł, a Luke czuwał przy pacjencie, gdy ten wydawał ostatnie tchnienie – głośne, pełne wysiłku, jak gdyby w tej chwili mężczyzna porzucił *ars moriendi* i pragnął jedynie żyć choćby chwilę dłużej. Nie zmieniło to jednak Cory: ani nie rozpaczała, ani nie okazała ulgi; raz tylko jej głos się załamał, gdy donosiła, że psa też znaleziono martwego, lecz trudno orzec, czy chciała się zaśmiać czy zapłakać. Po tym, jak Garrett podpisał akt zgonu, a ciało Michaela Seaborne'a zabrano, lekarz nie miał zasadnego powodu, by powracać na Foulis Street; budził się jednakże każdego poranka z tym jednym pragnieniem w sercu, a kiedy stawał przed żelazną bramą posesji, okazywało się, że się go oczekuje.

* To diabeł wcielony! (*franc.*)

Pociąg zatrzymał się na stacji Embankment i doktor został ponie-
siony przez przelewający się na peronie tłum. Ogarnął go swego ro-
dzaju smutek, lecz nie z powodu Michaela Seaborne'a ani wdowy po
nim – najbardziej trapiła go myśl, że może już nigdy nie spotkać Cory,
że ostatni raz zobaczy ją, kiedy spojrzy przez ramię, podczas gdy będą
biły żałobne dzwony.

– Tak czy inaczej – powiedział sobie – muszę tam być, chociażby
po to, by się przekonać, że wieko trumny jest dobrze przybite.

Za bramkami metra topniał lód na chodnikach; blade słońce chy-
liło się ku zachodowi.



Cora Seaborne, ubrana stosownie do okazji, siedziała przed lustrem.
Z każdego jej ucha zwisała się perłowa kropla na złotym druciku;
bolały ją płatki uszu, gdyż trzeba je było przekłuć ponownie.

– I tyle łez na dzisiaj – powiedziała. – To będzie musiało
wystarczyć.

Za sprawą pudru jej twarz nabrała bladości. Czarny kapelusz, który
miała na głowie, niezbyt jej się podobał, lecz miał zarówno woalkę, jak
i czarne pióro, okazał się więc dobrze dobrany do żałobnego stroju.
Obciążone tkaniną guziki przy czarnych mankietach nie zapinały się
i między końcem rękawa a rękawiczką widać było białą skórę. Dekolt
sukni był głębszy, niżby sobie tego życzyła, i odsłaniał obojczyk z bli-
zną o misternym kształcie, długą na kciuk i równie szeroką. Wyglądała
jak replika liści ze srebrnych świeczników, które stały po bokach lustra
w srebrnych ramach. Te liście mąż wbił w jej ciało, jak gdyby zatapiał
sygnet w laku. Zastanawiała się kiedyś, czy nie maskować blizny ma-
kijażem, ale z czasem ją polubiła; doszło też do jej uszu, iż w pewnych
kręgach z zazdrością szeptano, że jest to ślad po usuniętym tatuażu.

Odwróciła się od lustra i rozejrzała po pokoju. Niejeden gość mu-
siałby przystanąć na progu, zdumiony takim widokiem: z jednej strony
należące do zamożnej kobiety wysokie miękkie łóżko i adamaszkowe
zasłony, z drugiej – stacja uczoney. W najdalszym kącie pokoju pię-

trzyły się tablice botaniczne, mapy wydarte z atlasów i arkusze papieru z cytatami zapisanymi czarnymi wersalikami (PRZENIGDY NIE ŚNIJ Z DŁONIA NA RĘKOJEŚCI STERU! NIE ODWRACAJ SIĘ TYŁEM DO KOMPASU!*). Na gzymsie kominka ustawiono kilkanaście amonitów uszeregowanych według wielkości, a wyżej, zamknięci w pozłacaną ramkę, Mary Anning i jej pies podziwiali odłamany fragment skały z Lyme Regis. Czy to wszystko należało teraz do niej – dywan, krzesła, kryształowy kielich, który wciąż pachniał winem? Przypuszczała, że tak, i na tę myśl odczuła w całym ciele lekkość, jakby przestała podlegać prawom Newtona i miała się za chwilę znaleźć rozplaszczona na suficie. Odczucie owo było, jak wymagała przyzwoitość, stłumione, ale i tak potrafiła je nazwać: nie szczęście ani nawet zadowolenie, lecz ulga. Żaloba także – to oczywiste – i za nią również była wdzięczna. Choć pod koniec tak go znienawidziła, to właśnie mąż ją ukształtował, przynajmniej częściowo – a cóż dobrego kiedykolwiek przyniosła nieważność do samej siebie?

– O tak, stworzył mnie – powiedziała, a wspomnienia rozsunęły się przed nią jak obłoczek dymu ze zdmuchniętej świecy. Miała siedemnaście lat, mieszkała z ojcem w domu na północ od centrum, matka odeszła dawno temu (zadbawszy jednak o to, by nie skazać córki na haft i lekcje francuskiego). Ojciec – niepewny, co począć ze skromnym majątkiem, uwielbiany, z odcieniem pogardy, przez lokatorów – wyjechał w interesach i wrócił z Michaeliem Seaborne’em. Z dumą przedstawił mu córkę – oto Cora, bosa, z łaciną na ustach – a gość ujął jej dłoń, wyraził podziw i zbesztal ją za złamany paznokieć. Przyszedł po raz drugi, i jeszcze raz, i znowu, aż zaczęto go oczekiwać z niecierpliwością; przynosił jej cienkie książki i małe twarde bibeloty. Kpił z niej: kładł kciuk we wnętrzu jej dłoni i głaskał tak długo, aż poczuła ból; zdawało jej się wtedy, że cała jej świadomość mieści się w podrażnionym miejscu. W jego obecności wszystko – stawy w Hampstead Heath,

* Herman Melville, *Moby Dick, czyli biały wieloryb*, przeł. Bronisław Zieliński.

szpaki o zmierzchu, ślady owczych racic w miękkim błocie – zdawało się bezbarwne, nieistotne. Wstydziła się siebie – luźnego prostego ubrania, rozpuszczonych włosów.

Kiedyś powiedział:

– W Japonii naprawiają stłuczone naczynie kropelkami płynnego złota. Pomyśl tylko, jak wspaniale byłoby, gdybym cię rozbił na kawałki i poskładał na nowo, lecząc rany złotem.

Lecz ona miała siedemnaście lat, młodość służyła jej za zbroję i nie poczuła ostrza w ciele; roześmiała się, i on się roześmiał. W dniu swych dziewiętnastych urodzin zamieniła śpiew ptaków na wachlarze z piór, świerszcze w wysokiej trawie na żakiet w skrzydła żuków; została spętana fiszbinem, przekłuta kością słoniową, przyszpilona skorupą żółwia. Zaczęła mówić wolno, by ukryć drobną wadę; przestała chodzić pieszo. Dał jej złoty pierścionek, za mały; rok później następny, jeszcze mniejszy.

Z zamyślenia wyrwały ją kroki na górze, powolne, odmierzane tak dokładnie, jak tykanie zegara.

– Francis – powiedziała. Siedziała w milczeniu. Czekwała.



Rok przed śmiercią ojca i jakieś sześć miesięcy po tym, jak jego choroba dała o sobie znać po raz pierwszy, przy śniadaniu (gula w gardle uniemożliwiająca przełknięcie suchego tosta), Francis Seaborne został przeniesiony do pokoju na trzecim piętrze, w najdalszej części korytarza.

Jego ojca i tak nie zainteresowałyby sprawy domowe, nawet gdyby nie pomagał parlamentarzystom w przyjęciu ustawy o mieszkalnictwie. Decyzję podjęły matka i Martha, która zaczęła pracę jako niania chłopca, i – jak sama to ujęła – jakoś się zasiedziała. Uznano, że najlepiej będzie trzymać Francisca na dystans, gdyż w nocy bywał niespokojny i często zjawiał się w drzwiach sypialni, a nawet, raz czy dwa, ujrano jego twarz w oknie. Nigdy nie prosił o wodę, nie chciał, jak każde inne dziecko, żeby go pocieszyć. Stał tylko na progu z jednym ze swoich

talizmanów w rękę, aż ktoś ze śpiących wyczuwał niepokój i podnosił głowę.

Krótko po przenosinach do – jak nazywała go Cora – Górnego Pokoju, Francis stracił zainteresowanie nocnymi wycieczkami, a upodobał sobie gromadzenie (nikt nigdy nie nazwał tego kradzieżą) wszystkiego, co wpadło mu w oko. Swoje skarby układał w złożone i zagadkowe konfiguracje, nowe przy każdej wizycie matki. Wzory były jednocześnie piękne i dziwne; Cora podziwiałaby je, gdyby nie ułożył ich jej syn.

Jako że przypadał piątek, a także dzień pogrzebu jego ojca, Francis ubrał się sam. Był jedenastolatkiem, który wiedział, jak włożyć koszulę i zawiązać krawat. Śmierć ojca odebrał jako katastrofę, nie większą jednak niż zgubienie dzień wcześniej jednego ze skarbów (pióro gołębia: całkiem zwyczajne, poza tym, że dawało się uformować w doskonały okrąg, i to bez złamania). Gdy słuchał tych wieści – zauważył przy tym, że matka nie płakała, lecz była sztywna, a zarazem rozpalona, jak gdyby raził ją piorun – od razu nasunęła mu się myśl: *Nie rozumiem, dlaczego mnie to wszystko spotyka*. Jednakże pióro przepadło, ojciec umarł, a on, zdaje się, miał teraz iść do kościoła. Pomysł ten go ucieszył. Świadom, że w tej sytuacji przystoi grzeczne zachowanie, powiedział:

– Odmiana jest równie dobra jak odpoczynek.

W dniach bezpośrednio po odkryciu ciała Michaela Seaborne'a to pies cierpiał najbardziej. Skamlał pod drzwiami pokoju chorego i nie chciał przestać; zapewne wystarczyłoby go pogłaskać, żeby uciął, ale jako że nikt się nie kwapił, by dotknąć jego tłustej sierści, ubieranie zmarłego („Połóż mu monetę na powiece, dla przewoźnika – powiedziała Martha. – Nie sądzę, żeby święty Piotr zechciał się pofatygować...”) odbywało się przy akompaniamencie wycia. *Teraz oczywiście i pies nie żyje* – pomyślał Francis i wyczuł pod palcami drobny kłębek sierści zebrany z rękawa ojca – *i trzeba przeżyć żałobę po jedynym żałobniku*.

Nie wiedział, jakie rytuały towarzyszą pozbywaniu się zmarłych, lecz uznał, że warto przyjść przygotowanym. W każdej z lic-

nych kieszeni jego kurtki znalazł się przedmiot, niekoniecznie święty, lecz – jak sądził – odpowiedni na tę okazję. Lupa z pękniętym szkłem; ów kłębek sierści (chłopiec miał nadzieję, że wciąż tkwi w nim pchła lub kleszcz, a w ciele pasożyta – kto wie? – może kropla krwi); pióro kruka, najlepsze z kolekcji, bo niebieskawe na czubku; kawałek tkaniny, który oderwał z rąbka spódnicy Marthy, gdyż zauważył na nim upartą plamę w kształcie wyspy Wight; i kamień z idealnie okrągłym otworem w środku. Nappełnił i poklepał kieszenie, przeliczył skarby, czas więc dołączyć do matki. Pokonując trzydzieści sześć stopni w dół do jej pokoju, na każdym skandował fragment powiedzenia:

– Co było – a nie jest – co było – a nie jest;
co-by-ło.

– Frankie – odezwała się Cora. I pomyślała: *Jest taki maty*. Jego twarz, w niewytłumaczalny sposób niepodobna do twarzy żadnego z rodziców, z wyjątkiem oczu po ojcu, czarnych i jakby pozbawionych głębi, pozostała bez wyrazu. Uczesane włosy przylegały do czaszki; poruszyło ją, że zadał sobie tyle trudu, by ładnie wyglądać, i wyciągnęła do niego dłoń, lecz po chwili jej ręka, pusta, musiała opaść na kolana. Stał, poklepując po kolei każdą kieszeń, a potem zapytał:

– Gdzie on teraz jest?

– Będzie nas oczekiwał w kościele. – Czy powinna go teraz przytulić? Trzeba jasno powiedzieć, że nie wyglądał jak ktoś, kto potrzebuje pocieszenia. – Frankie, jeśli chcesz płakać, nie ma się czego wstydzić.

– Gdybym chciał płakać, tobym płakał. Robię to, na co mam ochotę.

Nie zbesztala go za tę odpowiedź, bo w istocie chłopiec tylko stwierdził fakt. Znowu poklepał każdą kieszeń, a ona powiedziała łagodnie:

– Zabierasz swoje skarby.

– Zabieram moje skarby. Mam coś dla ciebie (*puk*), dla Marthy (*puk*), dla Ojca (*puk*) i dla mnie (*puk, puk*).

– Dziękuję, Frankie... – Na próżno szukała słów: oto jednak weszła Martha i jak zawsze rozświetliła swoją obecnością pokój i rozładowała napięcie. Delikatnie dotknęła głowy Francisca, jak gdyby był całkiem zwyczajnym dzieckiem, mocnym ramieniem objęła Corę w pasie; pachniała cytrynami.

– Chodźmy więc – powiedziała. – Nie lubił, gdy się spóźnialiśmy.

U Świętego Marcina dzwony za zmarłego były o drugiej, dźwięk niósł się po Trafalgar Square. Francis, obdarzony do bólu wrażliwym słuchem, zasłonił uszy dłońmi w rękawiczkach i odmówił przekroczenia progu świątyni, dopóki nie wybrzmiało ostatnie uderzenie, tak że zgromadzeni odwracali głowy w stronę spóźnionej wdowy i syna i wzdychali ukontentowani: „Jacy oni bladzi! Jacy smutni! Spójrzcie na ten kapelusz!”

Cora przyglądała się temu spektaklowi z pełnym dystansu zainteresowaniem. W nawie, przesłaniając ołtarz, na czymś, co przypominało stół rzeźniczy, spoczywało ciało jej męża. Uświadomiła sobie, że chyba nigdy nie widziała tego ciała w całości, pamiętała tylko fragmenty bardzo bladej skóry na pięknie uformowanych kościach, oglądane przez ułamek sekundy, nierzadko z uczuciem paniki.

Uderzyło ją, że nie wiedziała nic o jego działalności publicznej, której oddawał się w (jak mniemała) identycznych gabinetach Izby Gmin i kancelarii w Whitehall, czy też w klubie, do którego nie miała wstępu, gdyż na nieszczęście urodziła się kobietą. Może gdzie indziej wykazywał się delikatnością – tak, może tak to właśnie wyglądało – za to ona przyjmowała całe okrucieństwo, na które zasługiwali inni. Jeśli się dobrze zastanowić, to była w tym jakaś godność; spojrzała na swoje dłonie tak, jakby spodziewała się ujrzeć stygmaty.

Nad nią, na czarnym balkonie, który w półmroku kościoła zdawał się unosić nad podtrzymującymi go kolumnami, siedział Luke Garrett. *Skrzat* – pomyślała – *patrzcie tylko!*, a jej serce tłukło się o klatkę żeber i niemal ruszyło w stronę przyjaciela. Płaszcz, który włożył, nie bardziej nadawał się na tę okazję niż fartuch chirurgiczny. Cora wiedziała,

że nie był trzeźwy, a za atencję kobiety u swego boku musiał zapłacić. A jednak, mimo mroku i dzielącej ich odległości, zapagnęła się rozesiać. Martha też to poczuła, dlatego uszczypnęła ją w udo, dzięki czemu później, w Hampstead, Paddington i Westminsterze, przy kieliszku wina, goście mogli powiedzieć, że wdowa zdusiła szloch akurat przy słowach „choćby i umarł, żyć będzie”; było to na swój sposób piękne.

Siedzący obok Francis nie przestawał szeptać, przycisnąwszy wargi do kciuka, z zamkniętymi oczami; wyglądał znów jak mały chłopiec i Cora przykryła jego dłoń swoją. Nieruchoma i gorąca dłoń chłopca idealnie pasowała do jej dłoni. Po chwili cofnęła rękę i położyła ją z powrotem na kolanach.

Później, gdy czarne sutanny jak gawrony przemykały między ławami, Cora przystanęła na schodach, by pozdrowić żalobników, którzy nie szczędzili ciepłych słów i wyrazów troski: niech pamięta, że ma przyjaciół w City; zawsze jest mile widziana, z uroczym synkiem, na kolacji w każdym domu; będą ją polecać w modlitwach. Podawała Marcie tyle kart wizytowych, tyle bukietów, a także małe księgi pamiątkowe i chusteczki obrębione czarną koronką, iż niejeden przechodzień mógłby pomyśleć, że ogląda ślub, choć cokolwiek ponury.

Mimo że nie zapadł jeszcze wieczór, oblodzone stopnie schodów lśniły w świetle latarni, a miasto spowiła blada mgła. Cora drżała z zimna, Martha więc podeszła bliżej, by Cora poczuła ciepło jej drobnego ciała w znoszonym płaszczu. Francis stał w pewnej odległości; lewą rękę trzymał w kieszeni kurtki, a prawą nerwowo wygładzał włosy. Nie wyglądał na zmartwionego; gdyby jednak był, jedna z kobiet przyciągnęłaby go bliżej i wyszeptala słowa pocieszenia, które przyszyby tak łatwo, o ile tylko on by ich oczekiwał. Chłopiec wyglądał jednak jak ktoś, kto grzecznie znosi zakłócenie porządku dnia.

– Chryste, zmiłuj się nad nami – powiedział doktor Garrett, kiedy już ostatni żalobnicy pożegnali się i poszli, a on, w czarnym kapeluszu, z uczuciem ulgi, że już po wszystkim, pomyślał o nocnych uciechach i porannych obowiązkach. A potem, w ujmujący sposób poważniejąc,

chwycił dłoń Cory obleczoną w rękawiczkę. – Świetnie się spisałaś, doskonale. Mogę cię odwiedzić do domu? Pozwól. Jestem głodny. A ty? Zjadłbym konia z kopytami.

– Nie stać cię na konia. – Martha odzywała się do doktora jedynie po to, by okazać irytację; to on a przezwała go Skrzatem, choć nikt już o tym nie pamiętał. Jego obecność w domu na Foulis Street – najpierw kwestia obowiązku, później oddania – irytowała Marthę, która czuła, że jej oddanie jest więcej niż wystarczające. Tymczasem lekarz pozbył się swej towarzyszkii i włożył do kieszonki na piersi chusteczkę z czarnym obszyciem.

– Mam wielką ochotę na długi spacer – odparła Cora. Francis, jak gdyby wyczuwając jej nagłe zmęczenie i widząc w tym szansę dla siebie, stanął przed nią i poprosił, żeby wrócili do domu metrem. Jak zwykle jego życzenie nie zabrzmiało jak prośba dziecka, która – jeśli się ją spełni – przyniesie mu zadowolenie, lecz jak zwykle stwierdzenie faktu. Garrett, jeszcze niepotrafiący sobie radzić z nieugiętą wolą chłopca, odpowiedział:

– Mam dość Hadesu na jeden dzień. – I machnięciem ręki przywołał przejeżdżającą dorożkę.

Martha wzięła chłopca za rękę, a on, zaskoczony śmiałością tego gestu, pozwolił, by spoczywała w jej dłoni.

– Ja cię zabiorę, Frank – powiedziała. – W metrze będzie ciepło, a stopy zmieniły mi się w sople lodu. Ale ty, Coro, nie zamierzasz chyba pokonać całej drogi pieszo? To chyba co najmniej trzy mile?

– Trzy i pół – uściślił doktor, jak gdyby sam kładł bruk. – Coro, pozwól, że pójdę z tobą.

Dorożkarz gestem okazał zniecierpliwienie, na co otrzymał nieprzyzwoitą odpowiedź.

– Nie powinnaś... – zwrócił się Garrett do Cory. – Nie możesz iść sama...

– Nie powinienam? Nie mogę? – Cora zdjęła rękawiczki, które chroniły jej dłonie przed zimnem nie bardziej niż najdelikatniejsza

pajęczyna. Rzuciła nimi w Garretta. – Dawaj swoje. Nie rozumiem, po co je w ogóle szyją ani dlaczego kobiety je kupują: mogą iść, i pójść. Zobacz, jestem nawet odpowiednio ubrana.

Uniosła rąbek spódnicy i pokazała ciężkie buty, odpowiednie raczej dla niesfornego wyrostka niż eleganckiej kobiety.

Francis odwrócił się od matki, gdyż stracił zainteresowanie dalszym rozwojem wydarzeń; czekało go dużo pracy w Górnym Pokoju, a kilka nowych skarbów (*puk, puk*) domagało się jego uwagi. Wyswobodził się z uścisku Marthy i ruszył w stronę miasta. Martha, spojrzawszy na Garretta podejrzliwie, a na przyjaciółkę – z żalem, pożegnała się pośpiesznie i zniknęła we mgle.

– Pozwól, że pójść sama – powiedziała Cora i wciągnęła pożyczone rękawiczki, tak przetarte, że okazały się niewiele cieplejsze od jej własnych. – Mam taki zamęt w głowie, że potrzebuje przejść co najmniej milę, by go uciszyć. – Dotknęła chusteczki w kieszonce Garretta. – Jeśli chcesz, przyjdź jutro na grób. Powiedziałam, że pójść sama, ale rzecz chyba w tym, że zawsze jesteśmy sami, bez względu na towarzystwo.

– Powinien chodzić za tobą sekretarz, który notowałby twoje mądrości – rzucił Skrzat z przekąsem i wypuścił jej dłoń. Uklonił się finezyjnie i wycofał do dorożki; zatrzasnął drzwiczki przy akompaniamencie jej śmiechu.

Cora, nie mogąc się nadziwić, jak przyjaciel potrafi odmienić jej nastrój, udała się nie w stronę domu, lecz w kierunku Strandu. Lubiła odnajdywać miejsce na wschód od Holborn, w którym rzekę Fleet skierowano pod ziemię; kiedy w spokojny dzień stanęło się nad jedną ze studzienek, można było usłyszeć, jak rzeka mknie ku morzu.

Dochodząc do Fleet Street, pomyślała, że gdyby naprawdę wyczuła słuch, mogłaby usłyszeć rzekę sunącą przez swój długi murowany grobowiec pod ulicą; słyszała jednak tylko hałas miasta, którego ani mróz, ani mgła nie były w stanie odwieść od pracy lub zabawy. Poza

tym powiedziano jej kiedyś, że rzeka jest dziś zaledwie ściekiem wzbierającym nie za sprawą deszczówki wypłukiwanej z Hampstead Heath, lecz z powodu rosnącej populacji Londynu. Postąpiła jeszcze chwilę, aż poczuła ból w przemarzniętych dłoniach i pulsowanie w świeżo przekłutych uszach. Westchnęła i ruszyła w stronę domu; spostrzegła, że niepokój, który niegdyś wywoływał w niej widok wysokiego białego budynku na Foulis Street, zostawiła za sobą, gdzieś między czarnymi ławami kościoła.

Martha, niespokojnie wyczekująca powrotu Cory (ta wróciła nieco ponad godzinę później, z piegami wyczierającymi spod białego pudru i w przekrzywionym kapeluszu), uważała apetyt za oznakę zdrowia psychicznego, z przyjemnością więc patrzyła, jak przyjaciółka je jajecznicę i tosty.

– Nie mogę się doczekać, kiedy to się skończy – powiedziała Cora. – Te kondolencje, uściski dłoni. Nudzi mnie ta pogrzebowa etykieta!

Pod nieobecność matki syn, udobruchany przejażdżką metrem, wziął szklankę wody i bez słowa poszedł na górę, gdzie zaraz zasnął z ogryzkiem jabłka w dłoni. Martha stanęła w progu i patrzyła, jak czarne rzęsy Francisca odcinają się od jasnej cery, i czuła, jak mięknie jej serce. Na poduszce leżał kłębek sierści tego przeklętego psa; wyobraziła sobie, że roi się na nim od wszy i pcheł, nachyliła się więc nad chłopcem, żeby zabrać sierść i tym samym zapewnić mu bezpieczny sen. Widocznie jednak musnęła poduszkę nadgarstkiem, bowiem Francis w ułamku sekundy się obudził, zobaczył sierść w jej dłoni i wydał niemy, wściekły krzyk; Martha wypuściła tłusty kłęb z palców i wybiegła z pokoju. Schodząc po schodach, myślała: *Dlaczego ja się go boję, przecież to tylko mały pól sierota!*, i prawie zdecydowała się wrócić, zażądać zwrotu niehigienicznego znaleziska, a może nawet wymóc na chłopcu pocałunek. Wtedy jednak ktoś głośno wsunął klucz do drzwi wejściowych i po chwili do środka weszła Cora. Zdjęła rękawiczki i otworzyła ramiona, by uściskać przyjaciółkę.

Wieczorem tego dnia Martha, która kładła się ostatnia, zatrzymała się przed drzwiami Cory; od kilku lat zawsze przed snem sprawdzała, czy u przyjaciółki wszystko w porządku. Drzwi były na pół otwarte, w kominku trzaskało polano. Martha spytała w progu:

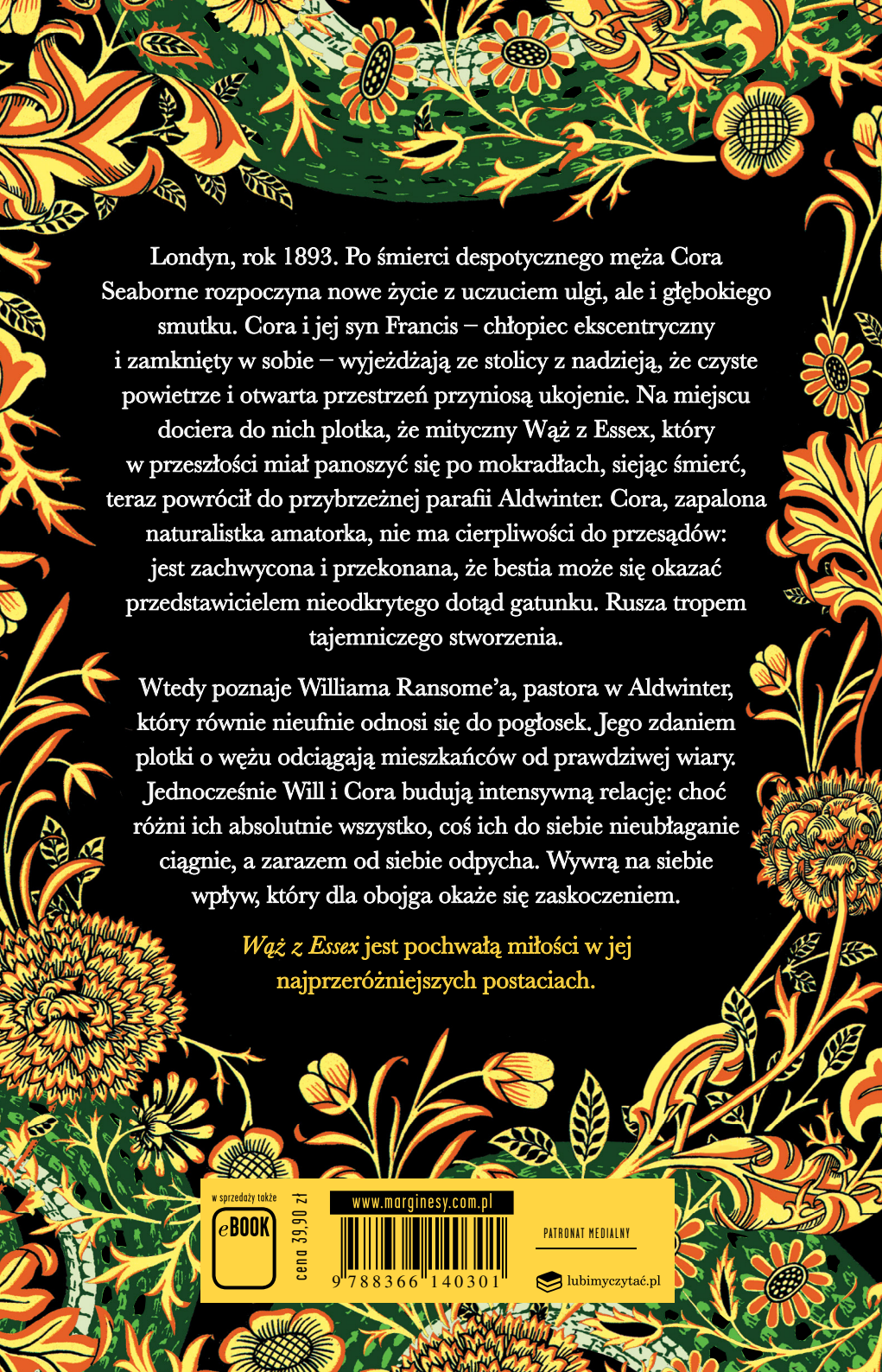
– Śpisz? Można?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, weszła na gruby jasny dywan. Na kominku stało mnóstwo wizytówek oraz gęsto zapisanych kart kondolencyjnych w czarnych ramkach; bukiet fiołków przewiązany czarną wstążką wpadł do paleniska. Martha schyliła się, żeby podnieść kwiaty, a one zdawały się chować przed nią za liśćmi. Wstawiła je do małej szklanki z wodą i postawiła tak, żeby Cora mogła je zobaczyć, gdy się obudzi, i nachyliła się, by pocałować przyjaciółkę. Cora coś wymamrotała, zmieniła pozycję, ale spała dalej; Martha przypomniała sobie dzień, kiedy pojawiła się na Foulis Street, żeby objąć posadę, i to, jak spodziewała się ujrzeć wyniosłą matronę ogłupioną plotkami i modą, i jak bardzo zaskoczyła ją ta zmienna istota, która otworzyła drzwi. Martha, zarazem wściekła i zahipnotyzowana, szybko spostrzegła, że gdy tylko przyzwyczai się do jednej Cory, natychmiast pojawia się inna: w jednej chwili jest uczennicą zachwyconą swoją inteligencją, w następnej – długoletnią bliską przyjaciółką; kiedy po ekstrawagancko stylowej kolacji goście wychodzą, pani domu klnie, rozpuszcza włosy, kładzie się przed kominkiem i śmieje.

Nawet jej głos wywoływał podziw i zmieszanie – to dziwne połączenie śpiewnej intonacji i wady wymowy, które pojawiała się, gdy była zmęczona i niektóre spółgłoski sprawiały jej kłopot. A to, że za jej inteligentnym urokiem (który, jak Martha cierpko zauważyła, potrafiła włączyć i wyłączyć, tak jak odkręca się i zakręca kran w łazience) kryły się widoczne blizny, czyniło ją tylko droższą. Michael Seaborne traktował Marthę z obojętnością, którą mógłby zarezerwować dla stojąca na kapelusze w hallu: nie liczyła się – na schodach udawał, że jej nie widzi. Jednak uważnej Marcie nie umknęło nic – usłyszała każdą zakamuflowaną zniewagę, zauważyła każdy ukryty siniak – i tylko

z najwyższym trudem powstrzymywała się od ukartowania zabójstwa, za które by z radością zawisała. Niecały rok po jej przybyciu na Foulis Street – rankiem, kiedy nikt nie spał – Cora przyszła do jej pokoju. To, co jej zrobił lub powiedział, sprawiło, że dygotała gwałtownie, choć noc była ciepła; jej gęste, nieuczesane włosy były mokre. Martha bez słowa uniosła kołdrę i wzięła Corę w ramiona; podciągnęła kolana, żeby zamknąć ją w uścisku i trzymała mocno, aż poczuła jej dygotanie w sobie. Wyswobodzone z rygoru fiszbinu i bielizny ciało Cory okazało się obfite i silne: Martha czuła poruszenia łopatek w wąskich plecach, miękki brzuch oparty o jej ramię, mocne mięśnie ud: zdawało się jej, że obejmuje zwierzę, które nie umie trwać w bezruchu. Obudziły się lekko przytulone, swobodne, i pożegnały się pieszczotą.

Podniosło ją na duchu, że Cora, choć zalegała w łóżku, nie pogrzyżyła się w żalobie, lecz zajęła tym, co nazywała „swoimi studiami”, jak chłopiec, który wkuwa do egzaminów. Na łóżku obok niej leżała stara skórzana teczka, należąca kiedyś do jej matki – z monogramu starła się pozłota, a sama teczka (jak utrzymywała Martha) pachniała zwierzęciem, którym niegdyś była. Na pościeli poniewierały się też notatniki zapisane drobnym, wyraźnym pismem, łącznie z marginesami, ze stronami przedzielonymi zasuszonymi łodygami chwastów i traw, oraz mapa odcinka wybrzeża z fragmentami zaznaczonymi czerwonym tuszem. Dookoła piętrzyły się papiery, a ona zasnęła z amonitem z Dorset w ręku. Jednak we śnie ścisnęła go o wiele za mocno, tak że rozpadł się na kawałki i pobrudził jej dłoń.



Londyn, rok 1893. Po śmierci despotycznego męża Cora Seaborne rozpoczyna nowe życie z uczuciem ulgi, ale i głębokiego smutku. Cora i jej syn Francis – chłopiec ekscentryczny i zamknięty w sobie – wyjeżdżają ze stolicy z nadzieją, że czyste powietrze i otwarta przestrzeń przyniosą ukojenie. Na miejscu dociera do nich plotka, że mityczny Wąż z Essex, który w przeszłości miał panoszyć się po mokradłach, siejąc śmierć, teraz powrócił do przybrzeżnej parafii Aldwinter. Cora, zapalona naturalistka amatorka, nie ma cierpliwości do przesądów: jest zachwycona i przekonana, że bestia może się okazać przedstawicielem nieodkrytego dotąd gatunku. Rusza tropem tajemniczego stworzenia.

Wtedy poznaje Williama Ransome'a, pastora w Aldwinter, który równie nieufnie odnosi się do pogłosek. Jego zdaniem plotki o wężu odciągają mieszkańców od prawdziwej wiary. Jednocześnie Will i Cora budują intensywną relację: choć różni ich absolutnie wszystko, coś ich do siebie nieubłaganie ciągnie, a zarazem od siebie odpycha. Wywrą na siebie wpływ, który dla obojga okaże się zaskoczeniem.

Wąż z Essex jest pochwałą miłości w jej najprzeróżniejszych postaciach.

w sprzedaży także



cena 39,90 zł

www.marginesy.com.pl



9 788366 140301

PATRONAT MEDIALNY

 lubimyczytac.pl